

CO KOMU PISANEK

Cokolwiek by się działo za oknami,
należy nam się trochę wytchnienia.

MARTYNA BUNDA



ILUSTRACJA MARTA FREJ

K olejne święta pod pandemią. Już drugie wielkanocne. Rok temu świętowaliśmy, widząc bliskich zza przepierzeń z folii, siedząc na tarasach albo ustawiając laptopy na stołach. Na kuchenkach gotowało się mleko na paschę, a za oknami szczekaczki radiowozów przypominały o obowiązku zasłaniania ust i nosa. Psychologowie podkreślali, że wszelki rozwój ma swoje źródło w kryzysie, i żeby odbić się w górę, zawsze potrzebne jest jakieś dno, wieszczyli też Nowy Ład Moralny – więcej empatii, więcej namysłu nad życiem, więcej książek, relacji, które mieliśmy docenić, mniej życia na autopilocie. Nie pomylili się w kwestii przyrody. Mieszkańcy miast masowo usiedli do Google Maps, szukając położonych nieopodal łąk – żeby choć na chwilę uciec spośród czterech ścian, między którymi już nie mogli wytrzymać. Mijał właśnie czwarty tydzień w zamknięciu. Liczba ofiar śmiertelnych sięgała 40.

Jest rok i 50 tys. pocovidowych śmierci później. Warszawska rada miasta i sejmowa komisja kultury zaczynają sesje od uczczenia ofiar wirusa. W pierwszej rocznicę pandemii, 12 marca, minuta ciszy ku czci ofiar zapadła w wielu miastach, od Białegostoku, przez Łódź, Bydgoszcz, Gdańsk, Sopot, po niewielkie Piaseczno. Przed szpitalem w Gorzowie ktoś regularnie stawia znicze.

Już niemal każdy po kimś płacze albo przynajmniej kogoś wspomina. Najbliżsi, współpracownicy, sąsiedzi, przyjaciele przyjaciół. Znane nazwiska i cenione autorytety. Po śmierci 32-letniej nauczycielki najmłodszych klas z warszawskiego Bemowa, która zaraziła się w szkole, dzieciaki potrzebowały pomocy psychologa. Jak mają żyć bez pani? Skoro ona umarła, to co będzie z nimi, może też się zarażą i umrą? Jak ma udźwignąć taki ciężar dziecko, które przyniosło covid? W Zakopanem wciąż nie mogą uwierzyć w odejście popularnego radnego, chłopa jak dąb. Ze społeczności Piaseczna zniknęła lubiany trener i powszechnie znany bibliotekarz. Z dziewięciu osób, które wspólnie robiły remanent w sklepie w Kartuzach na Pomorzu, dwie nie żyją, dwie kolejne ledwo się wykaraskały. Ludzie wciąż nie mogą się otrząsnąć. Te historie można ciągnąć bez końca.

Są w Polsce miejsca, w których wirus przetrzebił całe zespoły – w szpitalu w Tarnobrzegu pożegnano 42-letniego doktora, który miał pecha zachorować po raz drugi, 49-letnią pielęgniarkę; w środę miała przyjść do pracy po chorobie, ale w nocy jej stan się pogorszył, i jeszcze inne osoby. Podobnie w Chełmie czy Bydgoszcy. Są miasteczka, gdzie covid zabił niemal całe piętra w bloku.

Niektórzy czekali na szczepionkę jak na wybawienie, a nie zdążyli nawet pożegnać się z bliskimi. Anna i jej mama po marcu 2020 r., od kiedy ogłoszono obostrzenia, spotkały się tylko parę razy, by nie narażać 70-latkę z chorym sercem i cukrzycą. Potem zachorowała Anna – przeszła covid lekko, ale przeciągnęły kwarantannę. 24 marca mama miała dostać drugą dawkę szczepienia. Zabrano ją do szpitala i już się nie zobaczyły.

Znikają coraz młodszy. Od nowej mutacji wirusa umierają także nastolatki. Wśród chorych w stanie ciężkim jest już pół tysiąca dzieci.

W dodatku właśnie wali nam się służba zdrowia. Powtarzamy scenariusze z jesieni, gdy karetki jeździły po całej Polsce, nie mając gdzie pozostawić chorych. 30-latkowie duszą się więc na korytarzach w oczekiwaniu na łóżko – i tak też umierają. Zespoły karetek przekazują sobie chorych, wożonych wcześniej od szpitala do szpitala – kiedy po wielu godzinach w karetce kończy się wytrzymałość fizyczna ratowników. Koledzy wożą dalej, aż znajdzie się miejsce albo pacjent umrze, bo karetkom skończyły się zapasy tlenu. Są i tacy, dla których brakuje karetek. W statystyce śmierci z powodu Covid-19 Polska jest na czwartym miejscu na świecie i pierwszym w Europie.

Podobnie zresztą jak w statystykach tzw. nadmiarowych śmierci – osób, które nie mogły liczyć na pomoc służby zdrowia. Szpitale zajmują się niemal wyłącznie covidem. Nie mamy więc powodów do radości w te święta.

Byle do świąt

Spółczesność, którego tożsamość zbudowana jest na mitach i symbolach, ma wobec świąt duże oczekiwania, ale i nie mniejsze poczucie obowiązku. Nawet niewierzący poddają się sile *czasu zatrzymanego*. Sięgać można głębiej lub płycej, szukać sensu albo tylko dystansu, świętego spokoju, ale świąteczne skrypty mamy głęboko w krwiobiegu.

Pierwszy punkt na liście *must have* to rodzina. Nawet z tą skłóconą w każde święta należy usiąść przy stole – za wszelką cenę ściągnąć wujka Antoniego, który rok wcześniej obraził się, przegrawszy w monopol, wyłożony na stół po śniadaniu, by nie gadać o polityce, i od tego czasu się nie odzywa. Nie przyjechać do domu na święta z zagranicy to zawsze było niewyobrażalne, zwłaszcza dla tych, którzy są samotni.

Czas pandemii zmienił naszą perspektywę. Rezygnacja z bycia razem to teraz objaw troski, a tęsknota za rodziną, wnukami okazuje się mniej ważna niż zdrowie. Tuż przed kolejnymi świętami jednym z wątków najżywiej komentowanych na Facebooku jest brytyjska odmiana wirusa, która przyleciała na pokładach lotowskich samolotów, posłanych po *Polaków na obczyźnie*, którzy chcieli usiąść przy rodzinnych stołach w ostatnie Boże Narodzenie, bo *taka jest polska tradycja*.

Punkt drugi na liście to kościoł. Spora grupa wierzących bywa tam dwa razy do roku, właśnie w święta. Teraz mają wątpliwości. Zamknęliśmy restauracje, biblioteki, kina, muzea, a kościoły – nie. Czy to w porządku? Sam Kościół nie pomaga w rozwiązaniu dylematów; biskup Jędraszewski napomina, by wierni nie poprzestawali na kulawej formie liturgii, jaką jest msza online, bo *erzac* to nie to samo co autentyczne uczestnictwo, biskup Dec – że w epidemii nie wolno zamykać prawdziwych źródeł uzdrowień, a bywalcy Radia Maryja z tytułami profesorskimi opowiadają Polakom, że w kościołach nie można się zarazić, bo to strefa sacrum, a ręce kapłana są czyste, bo poddane rytualnej ablucji. A przecież proboszczowie parafii w Radomiu, Wieluniu, Czyżynach, Tulcach, Rybniku, Choryni, Garwolinie, Adamowicach, Nowym Dworze Mazowieckim, Męcinnie, Białopolu już nie żyją – zabił ich covid. Przechorowała wirusa już większość biskupów.

Chwieje się też trzeci z filarów polskiego świętowania, czyli oddanie się robocie. W wielu domach święta poprzedza wejście w tryb zadaniowy: okna pomyć, pościel wywietrzyć, pod meblami wysprzątać, ogród ogarnąć, psy wykapać, napiec i przygotować jedzenia. Auto umyć – niechby i odstawszy swoje w najdłuższych kolejkach w całym roku. Płot naprawić, drewno narząbać i nanieść, potem usiąść, i znów posprzątać po świętach. Tyle że my już od roku jesteśmy w trybie zadaniowym. Energia się nam kończy. Wiosną 2020 r. badacze z uniwersytetów w Toruniu, Warszawie, Białymostku, Poznaniu czy Krakowie zgodnie diagnozowali, że emocją dominującą wśród Polaków jest lęk – główna siła napędowa strategii zadaniowych, ale teraz lęk ustąpił miejsca zniechęceniu i zmęczeniu. Poczuciu bezradności, irytacji, zagubienia.

Byle do jutra

I nawet nie da się wirusa przegnać miotłą. W zakorzenionym w kulturze kodzie znaczeń i skojarzeń Wielkanoc ma moc antypandemiczną; każda kolejna dzuma, ospa, odra, aż po hiszpankę z 1918 r., przycisnęły po Wielkiejnocy. Współczesna medycyna podsuwa proste wytłumaczenie, że przedświąteczny obowiązek ablucji, powszechne sprzątanie domów, wreszcie tak banalna rzecz, jak zmiana ubrań na lżejsze, hamowały rozwój wirusów. ►

► Ale w te święta magiczna moc przeganiania chorób nie zadziała, bo trzymamy reżim sanitarny już od roku.

Siadamy więc do stołów nie tylko zmęczeni, pełni złości, ale i z podciętymi skrzydłami. Niepewni, co będzie dalej. A jednak do nich siadamy. I jeśli uczciwie poprowadzić bilans tego roku, w wielu domach okaże się on nie tyle trudny, co ważny.

...Beata i Marek całe poprzednie święta przesprząkali – to były wielkie porządki po zdejmowaniu drewnianych boazerii, remoncie kuchni i odświeżaniu pokoi. Jak większość Polaków w pierwszych dniach lockdownu 2020 wzięli się za sprawy, na które od lat nie mieli czasu. Jest rok później. Przed kolejnymi świętami nowe płytki kuchenne nie mogą się doczekać na powierzchowne przetarcie, bo właśnie znaleźli dom do remontu pod Warszawą. I kupca na swoje, pozbawione już boazerii, mieszkanie. Święta spędzą bez rodziny, ale za to planując rozkład domu, o którym rok wcześniej nie odważyliby się marzyć.

Decyzja pani M. była jeszcze odważniejsza. Ma dorastającą córkę, syna, który potrzebuje domowej edukacji, i leżącą mamę, którą trzeba się zajmować. 50 m na dwóch poziomach na Mokotowie poszło na sprzedaż, a pani M. kupiła stary dworzec kolejowy pod Toruniem. Będzie dużo miejsca i ogród. No i jest coś magicznego w tym, że stół będzie stał tam, gdzie przez 200 lat ludzie się witali i żegnali. W ostatnim roku spotkała wystarczająco wiele pomocnych i życzliwych osób, by uwierzyć, że to się może udać. Mówi: zamiast szarpać się z każdym dniem o utrzymanie na powierzchni, postanowiła odpocząć. Przekonała dzieci, że długofalowo to jest lepszy pomysł. Kto wie, ile jeszcze potrwa życie online?

Państwo K. – mimo zmęczenia materiału, znużenia codziennością ostatniego roku, doceniają jeden aspekt pandemii: zamknięci w domu z dziećmi najpierw chcieli je – umownie – pozabijać. Później chcieli się rozwieść. Jednak z perspektywy czasu oceniają, że niespodzianie jakoś bardziej się żyli i zbliżyli z dziećmi.

Wirus przekreślił bądź przyspieszył migracyjne plany wielu rodzin, a czasem na nowo zdefiniował zajęcia. P. tuż przed pandemią miała najcięższy czas w życiu. Rozwód, szarpanina o dzieci, i ustępstwa, na które nie powinna się zgodzić, ale chciała mieć to wszystko za sobą. Została bez pieniędzy. Zawsze miała talent do wyszukiwania perełek w ciuchlandach. Teraz dwa razy w tygodniu robiła transmisje online, na których sprzedawała wyszukane przez siebie ubrania z drugiego obiegu. Gdyby nie covid, zamknięcie ludzi przed ekranami monitorów, nie miałyby tylu klientek. Klientów nie miałyby też pani Natalia, która robotę stewardesy po skasowaniu większości lotów zamieniła na maszynę do szycia gadżetów dla fanów awiacji. Dziś ma sklep online...

Byle do wiosny

Zmiany wokół nas nie ograniczą się tylko do przeprowadzek czy nowego zajęcia kilkorga spośród naszych znajomych. W wielu firmach trzeba będzie zdecydować, co dalej z biurowcami. Według różnych badań tylko co dziesiąty Polak, który w ostatnich miesiącach pracował zdalnie, chciałby powrotu do zasad sprzed pandemii, większości marzy się model hybrydowy albo wręcz żeby zostało tak, jak jest. To zresztą wcześniejszy trend; w Londynie, Berlinie już przed covidem wyłapano zjawisko zamiany dawnych biur w centrach miast na mieszkania. Te pierwsze cieszyły się mniejszym wzięciem niż drugie.

Wiele rodzinnych firm jest w fatalnej kondycji i podejmuje decyzje, by się zamknąć. Inne, którym zmiana sytuacji wyszła na zdrowie, nie bardzo wiedzą, co zrobić z tym sukcesem. Chwalić się nie wypada, prawdę mówiąc, nawet nie wypada mieć zysków.

Wiele par jest na granicy rozstania. Część z nich zabrała się do mozołnego odbudowywania relacji, część złożyła lub złożyła papiery rozwodowe. Pytanie, co dalej.

Dzieciaki też nie chcą wracać do szkół, choć są szczególnie zmęczone pandemią. A jednocześnie ich rodzice po raz pierwszy

w życiu skonfrontowali się z tym, jak wygląda szkoła. W wielu badaniach powraca ten sam wątek – rodziców dochodzących do wniosku, że problem jest nie z „panią od historii”, ale z całym tym konceptem nauczania. Może i z tego coś niebawem wyniknie.

Sam covid wiele decyzji przyspieszył bądź zdeterminował. Przeprowadzki, śluby, nowe dzieci, rozwody, nowe zainteresowania, kroki drobne, ale miłowe, jak zrobienie prawa jazdy, będą się wydarzać obok – i pomimo niego. Podobnie jak nowotwory czy chore serca u najbliższych czy nas samych; sprawy poważne obok błahych, jak zęby do wyleczenia czy konieczność przypomnienia sobie zasad dzielenia ułamków, żeby dziecko znowu nie dostało pały.

Energia tych świąt, które są przed nami, jest nowa dla nas. Trochę jak zmacona woda, w której trudno się przejrzeć. Ale i ta energia za jakiś czas się zmieni. Tymczasem mimo zadaniowego trybu, w który tak lubimy wskakiwać, społeczny sens świętowania zbudowany jest na czymś przeciwnym – *zatrzymaniu czasu*. Wyhamowaniu pędzącego pociągu, w jakim wszyscy siedzimy. Można powiedzieć, że w tym sensie mamy za sobą cały rok świętowania. Ale w tak strasznie wyczerpujący sposób, że w te święta odpoczynek należy nam się jak nigdy.

Byle do przyszłego roku

Tym bardziej że – nawet jeśli z dzisiejszej perspektywy wydaje się to dalekie – mamy normalność w perspektywie. Żadna z wielu pandemii, które zapisały się w historii Ziemi, nie trwała więcej niż parę lat; zwykle już po trzech zagrożenie mijało i – pogrzebawszy zmarłych i uczciwszy ich pamięć – można było wrócić do życia.

Z tą pandemią mimo wszystko idzie szybko. W krajach, w których szczepienia przebiegają lepiej niż u nas, ono już wróciło na tory sprzed pandemii. W Izraelu, gdzie udało się zaszczepić więcej niż połowę mieszkańców, pootwierano kina i restauracje, i wszystko toczy się w miarę normalnie. Nadal trzeba nosić maseczki, ale ludzie całują się na powitanie jeszcze wylewniej niż w czasach sprzed pandemii. Więcej się spotykają, nadrabiając czas.

W Europie czekaliśmy na poszczepionkowe paszporty czy zaświadczenia dla ozdrowieńców, ale być może nawet nie będą potrzebne. Brytyjski wariant wirusa, który okazał się znacznie bardziej zaraźliwy i w te święta postawił na głowie naszą codzienność, spowodował również, że w niespodziewanym tempie przybywa ozdrowieńców. Według szacunków w drugiej połowie roku nawet 20 mln Polaków w ten sposób zdobędzie już naturalną odporność na wirusa. Kolejnych 15 mln będzie ją miało dzięki szczepionkom, których na europejskim rynku pojawia się zresztą coraz więcej. Wszystko wskazuje, że już z końcem maja do szczepień będą mogli podejść 40-latkowie. To pozwoli otworzyć przestrzeń publiczną, wrócić do kin, restauracji, muzeów, sanatoriów, na pływalnie i siłownie. Nawet pod koniec lipca – obliczają specjaliści – będzie już względnie normalnie.

Świat też się otwiera. Joe Biden, który za jeden z głównych celów pierwszych stu dni prezydentury obrał podwojenie liczby podanych szczepionek, ogłosił właśnie, że z końcem maja USA otworzy się na Europę, Wielką Brytanię, Kanadę i Meksyk. Obiecał też, że narodowe święto 4 lipca Amerykanie uczczą już w starym, przedcovidowym stylu.

Także Boris Johnson zapowiedział rychłe otwarcie brytyjskich pubów i klubów dla wszystkich, którzy będą mieli negatywny wynik testu na koronawirusa. Testy trafiły zresztą właśnie do masowej sprzedaży, a popularne europejskie sieci handlowe zapowiadają obniżanie ich cen do kilku euro za sztukę.

W latach dwudziestych, gdy przeminęła trwająca dwa lata światowa pandemia hiszpanki, zaczęła się era jazzu – tańczono też więcej niż wcześniej, w sposób, który przed pierwszą wojną nie mieścił się ludziom w głowach. Może sylwestra już przetańczymy. Tym bardziej teraz musimy na siebie uważać.

MARTYNA BUNDA



Maarten van Heemskerck
„Jezus cierniem ukoronowany”,
1550 r.

BEZSILNY ZBAWICIEL

Krzyż, narzędzie męki i śmierci, jest jako znak chrześcijaństwa rozpoznawalny na całym świecie także przez te dwie trzecie ludzkości, która nie wierzy, by Jezus był Synem Bożym. Ale jedna trzecia albo jest o tym święcie przekonana, albo uważa zapis Ewangelii za metafizyczną Prawdę, która nadaje sens życiu.

ADAM KRZEMIŃSKI

Jezus żyje dziś w tak wielu wersjach, odruchach chrześcijan wierzących i niezupełnie wierzących, a także w interpretacjach ludzi innych albo żadnych religii – heretyków, agnostyków, ateistów, że z tym realnym żydowskim rabbim w zajętej przez Rzymian Palestynie nie całkiem jest tożsamy. Nie ma źródeł pisanych na gorąco przez ludzi, którzy się z nim zetknęli jako jego wyznawcy, wrogowie czy obserwatorzy. Ewangelie spisano dziesiątki lat po jego śmierci, apokryfy jeszcze później, notatki rzymskich

urzędników i dziejopisów potwierdzają, że kaźń buntownika imieniem Jezua się odbyła, że opowiadano o jego zmartwychwstaniu. Ale chmara kopistów i badaczy pism przez wieki coś wczytywała, coś przekreślała, coś dopisywała, że egzegeci do końca tego świata mogą mieć ręce pełne roboty. Przez te niespełna dwa tysiące lat nikomu innemu nie poświęcono tylu papirusów, pergaminowych foliałów, papierowych tomów, filmów fabularnych – nabożnych i prześmiewczych – oraz dokumentacji zawisłych w cyfrowej chmurze. ▶

► A przecież w przybliżeniu znamy jedynie niewielki wycinek z jego realnego życia. Biograficzne odpryski o narodzinach w betlejemskiej stajence, hołdzie trzech mędrców, ucieczce przed siepaczami Heroda, o dyspacie dwunastolatka w Jerozolimie z kapłanami, a potem już chrzest trzydziestolatka w Jordanie i te dwa–trzy lata, a może zaledwie kilka miesięcy, gdy nauczał na niewielkiej przestrzeni. Od Jerozolimy po północny brzeg jeziora Genezaret nie ma nawet 200 km, w tamtych czasach karawanie wystarczyły tydzień na pokonanie takiej odległości.

Jednak pole do domysłów, co ukształtowało Jezusa, jest ogromne. Wiadomo, że był wykształcony – nazywano go rabbi – mistrzem czy nauczycielem. W ówczesnej społeczności żydowskiej, która już opierała się na rozległej kulturze pisma, takie wykształcenie wymagało wielu lat pracy, twierdzą znawcy epoki i przedmiotu. Nic natomiast nie wiemy o stosunkach rodzinnych młodego Zbawiciela, czy był żonaty czy nie. Ewangelści to wszystko pomijają, jakby nie było ważne. Stąd ulotna interpretacja: jako Syn Boży nie musiał się niczego uczyć, bo i tak wszystko wiedział, a ktoś, kto zbawia świat, jest oblubieńcem wiernych, którzy są jego dziećmi.

Jednak historycy, etnologowie i filozofowie religii nie odpuszczają. Próbuje wpisać biografię Jezusa w religijną, polityczną, obyczajową i psychospołeczną rzeczywistość ówczesnej Palestyny w oparciu o odnajdywane zwoje papirusów, zapiski żydowskie, greckie, rzymskie. Hipotez jest bez liku. Jezus należał do sekty pobożnych esseńczyków, przeciwnych zarówno walce zelotów z Rzymianami, jak i kolaboracji faryzeuszów i ugodzie elity z rzymskim protektorem. Biografowie i biografki Jezusa – także te z katolickim wykształceniem teologicznym czy protestanckim tytułem biskupów – nie odpuszczają też tak łatwo rodzinnych relacji Jezusa. Pominięcie ich przez ewangelistów – piszą – niczego nie przesądza. Może nie było to dla nich istotne? Może coś chcieli przemilczeć? Może był żonaty, miał dzieci, ale porzucił rodzinę, by nauczać. Może jego kobieta czy wręcz kobiety jego wcześniejszego życia były wśród braci i siostr towarzyszących mu, gdy nauczał? Może poza apostołami były również apostołki? Apokryfy coś takiego sugerują, ale kto by ufał słowu spisane po latach. W końcu każde pismo to trochę głuchy telefon – skrybka ścisła rzeczywistość w słowa, zdania, akapity, a czytający wkłada w to własne rozumienie świata. Stąd niekończące się meandry egzegezy, krytycznej analizy tekstów, nie podyktowanych przez Archanioła, jak Koran, lecz zapisanych przez ewangelistów z pamięci lub – jak w wypadku Jana – z relacji. Swe pisma kanoniczne Kościół chrześcijański zestawiał długo – od roku 170 do 397 – zresztą mocno się wahając, czy włączyć do nich Apokalipsę św. Jana, wstrząsającą opowieść o czterech jeźdźcach, którzy położą kres temu światu.

Ale instytucje kościelne nigdy nie były jedynymi strażnikami przesłania tego bezsilnego żydowskiego rabbi, któremu rzymscy legioniści włożyli cierniową koronę, a nad głową przybitego do krzyża umieścili szyderczy napis INRI – *Jesus Nasarenus Rex Judeorum*. Jezus był, jest i jeszcze będzie obecny

w życiu duchowym wielu ludzi niezbyt związanych z oficjalnymi wyznaniem chrześcijańskimi. Niezależnie od tego, czy to się podobało lub podoba fundamentalistom różnych Kościołów, inkwizytorom i ideologom sojuszu tronu i ołtarza. I to jest właśnie duchową siłą dobrej nowiny głoszonej przez żydowskiego rabbi.

Filozofowie dziejów uważają Jezusa za jednego z tych nielicznych historycznych postaci, które nadały kształt ludzkości. Karl Jaspers, który był także psychiatrą i protestanckim teologiem, zalicza go obok Sokratesa, Buddy i Konfucjusza do kluczowych autorytetów. Inni – zapisują go do kartoteki twórców światowych religii, jak Mahometa. Z kimkolwiek by jednak porównywać udreżonego w przededniu żydowskiego święta skazańca, to zdumiewa krótki czas publicznego działania, nauczania, cudownych czynów, zderzenia z ówczesnymi autorytetami, sądu, okrutnej śmierci i... wiary w zmartwychwstanie tak silnej, że wbrew logice materialnego świata pozwoliła jego otoczeniu dostrzec niepojęte i rozpalić nadzieje na odrodzenie po śmierci, jeśli nie na tym, to na innym świecie.

Dirk van Baburen „Chrystus wśród uczonych”, 1622 r.



Jeśli Jezus jest twórcą światowej religii, to wyjątkowym.

Nie napisał żadnego pisma świętego jak Mahomet. Jego słowa to przekaz pośredni, niemal memy Kazania na Górze czy sentencji rzucanych uczniom przy okazji niezwykłych czynów, jak zamiana wody w wino czy przywracanie do życia chorych, a nawet zmarłych. Przekazem są nie tylko słowa, ale przede wszystkim życie, śmierć i wiara aż po zmartwychwstanie i – jak zapisano – wniebowstąpienie, by w imię Ducha Świętego w postaci Świętej Trójcy zasiąść po prawicy Ojca. Niesłychana nadzieja dla wszystkich cierpiących, odrzuconych, przegranych. A dla niejednego z niedowiarków – życiodajna siła złudzenia.

Jako twórca religii Jezus jest trudno porównywalny z innymi. Także dlatego, że tak krótko działał i tak młodo umarł. Konfucjusz żył 70 lat, był uczonym, politykiem, wygnańcem, nawet jeśli sam nie spisał swego pięcioksięgu, to mógł mieć wgląd w to, co za niego spisano. Budda żył ponad 50 lat, najpierw

w dworskim luksusie, potem na widok nędzy poza murami pałacu doznał oświecenia i żył w ascezie jako wędrowny mnich, głosząc Szlachetne Prawdy. Mahomet żył 60 lat, choć może nawet 80, a działał 30 lat. Był kupcem, politykiem, wodzem armii. Koran to jego dzieło, podyktowany ponoć przez Archanioła, który znał i poprawił żydowską Biblię. Żaden z tych trzech nie uważał się i nie został uznany za Boga. Jezus początkowo również. Mówił, że jest synem Bożym, ale bożym dzieckiem jest każda żywa istota, jeśli nie wręcz – za kreacjonistami – cały wszechświat, to rozpedzone dziecko boskiego Wielkiego Wybuchu.

Pierwotnie swe kazania Jezus odnosił lokalnie, do miejscowego ludu Izraela, zresztą niczego innego nie oczekiwali jego apostołowie i apostołki, jak to się dziś czasem mówi na „zepsutym Zachodzie” z uwagi na obecne wśród nich kobiety. Palestyna była okupowana. Po kraju chodziło wielu kaznodziejów, uzdrowicieli i buntowników. Wielu czekało na bożego pomazańca, wyzwoliciela, zbawiciela – Mesjasza.

I Jezus obiecywał zbawienie. Poprzez umiłowanie bliźniego, rezygnację z przemocy i gotowość nadstawiania za to głowy, nawet aż po śmierć. „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje”. Tak to zapamiętał Mateusz. I dalej: „Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł?”. Słuchający Jezusa uważali zapewne, że jest już tak nie do wytrzymania, że chyba niebawem nastąpi koniec świata. Trzeba więc zadbać o to, co będzie potem. I Jezus też musiał tak uważać, skoro był pewien: „Zaprawdę, powiadam wam: Niektórzy z tych, co tu stoją, nie zaznają śmierci, aż ujrzą Syna Człowieczego, przychodzącego w królestwie swoim”.

Adolf Holl, zmarły przed rokiem austriacki wikariusz i nauczyciel religii katolickiej, pisał, że z historycznego punktu widzenia przesłanie Jezusa bynajmniej nie odnosiło się do całej ludzkości, a jedynie do tej garstki wokół niego. I niewykluczone, że idąc na Golgotę, był pewien, że za moment rozlegnie się trąba Sądu Ostatecznego. Niektórzy egzegeci uważają wręcz, że umierając, był przerażony, że się pomylił: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił!”, by w ostatnim momencie jednak odzyskać wiarę: „Dokonało się (...). Ojczy, w ręce Twoje oddaję ducha mego”. I to jest prawdziwe Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie, a nie czary...

Eugen Drewermann, niemiecki teolog, psychoterapeuta, represjonowany przez Kościół dziś już były ksiądz, powtarzał, że biologiczna śmierć to biologiczna śmierć i nie należy mówić o fizycznym wejściu zmartwychwstałego Chrystusa do nieba, który niczym rakieta uniósł się w górę, by w galaktycznej mgłę dotrzeć w zaświaty. Dla Drewermanna prawda chrześcijaństwa to Wielka Metafora kondycji ludzkiej i moralnego sensu we wszechświecie, to wyzwolicielska siła, baśń niezbędna dla życia.

Dla ortodoksów to oczywiście herezja, ale dla wielu niechrześcijan to właśnie siła chrześcijaństwa pozwalająca łatwo znaleźć jego odpowiedniki we własnych przemyśleniach i wyznaniach religijnych.

Dla muzułmanów Jezus jest prorokiem i Mesjaszem, ale nie jest Bogiem wcielonym i zmartwychwstałym, bo według nich nie został ukrzyżowany.

Dla austriackiego Żyda, filozofa i badacza chasydyzmu Martina Bubera Jezus jest wielkim bratem, któremu należy się ważne miejsce w dziejach wiary żydowskiej. Nie uważa go za Boga, ale poważnie traktuje fakt, że chrześcijaństwo go w nim ujrzało, choć lepiej poprzestać przy pojęciu Chrystus – Mesjasz, pomazaniec...

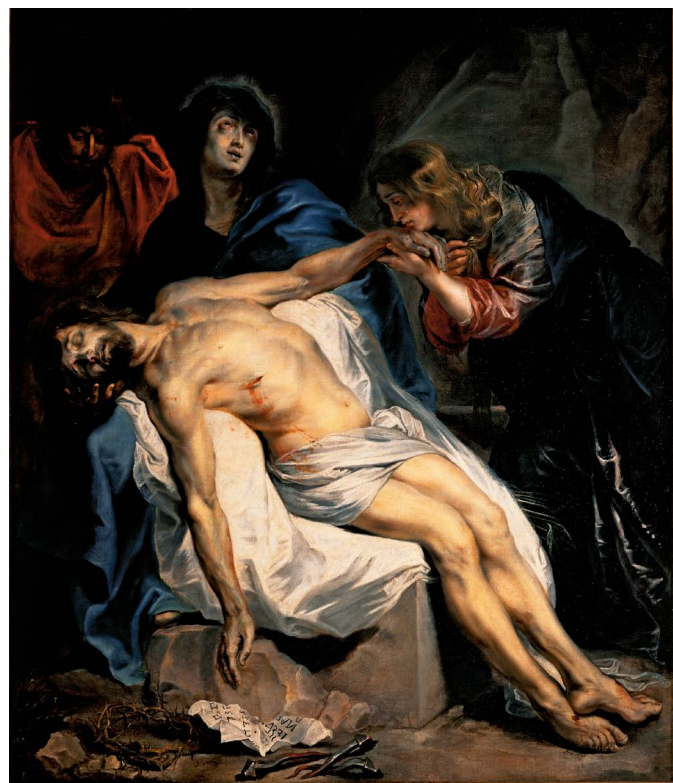
Dla hinduisty Mahatmy Gandhiego Jezus ze względu na Kazanie na Górze jest wielkim nauczycielem, ale zinstytucjonalizowane

chrześcijaństwo – z pogonią za pieniądzem i władzą – dokładnym zaprzeczeniem nauk Chrystusa.

Buddysta Daisetz Taitaro Suzuki, japoński propagator zen w Europie, przyznaje, że widok Ukrzyżowanego jest dla niego symbolem przepaści między filozofią i psychologią Zachodu i Wschodu, który nie zna takiego skupienia się na swoim ja, jak widok stężełej w bólu twarzy człowieka umierającego między ziemią i niebem. Budda umarł, spokojnie leżąc na boku. Zatem chrześcijaństwo i buddyzm to dwie krzyżujące się linie: pionowa i pozioma. I w tym mają coś wspólnego – grecki krzyż łączy się z hinduską swastyką...

Kongijski teolog Bénézet Bujo twierdzi, że w Afryce Jezus jest kimś w rodzaju doskonałego wodza plemiennego, mistrzem człowieczej inicjacji, uzdrowicielem, praprzodkiem i drzewem życia.

Chiński biblista Zhu Weizhi przybliży komunistycznym Chinom Jezusa jako proletariusza, twórcę teologii wyzwolenia i chrześcijańskiego socjalizmu. Gdyby nie krach azjatyckiego chrześcijaństwa i niezgody Watykanu na przeło-



Antoon van Dyck „Pietà”, 1618–20 r.

mie XVII i XVIII w. na łączenie liturgii i teologii chrześcijańskiej z konfucjanizmem czy szintoizmem, to Jezus miałby dziś w Chinach i Japonii wyrazisty azjatycki wizerunek.

Obok Jezusa papieży, kardynałów, licencjonowanych przez Kościół (lub nie) profesorów teologii, ideologów i komentatorów jest także Jezus mistyków, filozofów, psychologów, terapeutów. Ale w mediach żydowskiego rabbi na wszystkie strony obracają powieściopisarze, rebelianci, feministki, skandaliści, kabareciarze, nawet erotomani. „Pasja”, „Jesus Christ Superstar”, „Ostatnie kuszenie Jezusa”, bóg wie co jeszcze.

Jezus żyje, choć niezupełnie tak, jak to się powtarza w modlitewnych młynkach, a w myślach, czynach, tęsknotach, radościach i cierpieniach tych, którzy do siebie biorą jego życie i przesłanie. Bezsilny Bóg, pisał Mark Lilla o duchowości naszego świata. To także cierniowa korona. Tylko inna.

ADAM KRZEMIŃSKI

Moja rozmowa z ks. prof. Michałem Hellerem, której skrócony zapis drukujemy obok, odbyła się 12 marca na scenie teatru miejskiego w jego rodzinnym Tarnowie, dokładnie w dniu 85. urodzin ks. Hellera, w obecności stu kilkudziesięciu gości, którzy na zaproszenie władz miasta zebrali się (z zachowaniem wszelkich sanitarnych reżimów), aby uczcić Jubilata. Prof. Michał Heller jest nie tylko wybitnym naukowcem, fizykiem, matematykiem, kosmologiem, ale też jednym z coraz mniej licznych

polskich kapłanów otwartych na spotkania i dyskusje z niewierzącymi, czy jakkolwiek wierzącymi, gotowych odpowiadać na wszelkie, nawet prowokacyjne pytania dotyczące granic wiary i nauki, rozumienia Boga, sensu ludzkiej egzystencji. Autor kilkudziesięciu fascynujących książek z dziedziny kosmologii, fizyki współczesnej, teologii, filozofii przyrody, historii nauki. Założyciel i fundator (dzięki Nagrodzie Templetona) krakowskiego Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych.

Kładka nad otchłanią

Książk profesor **Michał Heller** o tym, jak pogodzić wiarę z nauką, o kryzysie w Kościele i o tym, jakie nas może czekać życie po życiu.



JERZY BACZYŃSKI: – **Zwykle, kiedy się do księdza zwracam, mówię: Księżo Profesorze. Oba tytuły w tym zestawieniu są znaczące. Ksiądz łączy dwa światy, które na co dzień wydają się niesłychanie odległe, wręcz wrogie: wiarę i naukę. Od kapłana oczekuje się, jak sądzę, że nie będzie podważał tego, co przekazano mu w seminarium, że odpowiedzi na pytania o porządek i początek świata będzie odnajdywał w Piśmie Świętym, tradycji Kościoła, w teologii, katechizmie. Wciąż mnie kusi pytanie, jak to się stało, że młody ksiądz Michał Heller uznał te gotowe, dane odpowiedzi za niewystarczające i postanowił ich szukać na własną rękę, w nauce? I to jeszcze tak prowokacyjnej wobec religii jak fizyka współczesna i kosmologia.**

MICHAŁ HELLER: – Te dwie rzeczy, bycie księdzem i uprawianiem nauki, dojrzewały we mnie równolegle. Przypuszczam, że to zasługa mojego domu rodzinnego, gdzie tradycje religijne, naukowe, także literackie, wyrastały razem. Ojciec zresztą naciskał mnie, żebym najpierw ukończył fizykę i potem ewentualnie poszedł do seminarium. Ja chciałem odwrotnie i jakoś – nie było łatwo, przyznam się – postawiłem na swoim. W studiach seminaryjnych, w filozofii, teologii szukałem wątków, powiedzmy, kosmologicznych. Pamiętam, że gdy z uwagi na zbyt młody wiek musiałem czekać rok na święcenia, postanowiłem zrobić – bo była taka możliwość – magisterium z teologii. Wtedy w Tarnowie magisterium nie można było uzyskać, tylko w Lublinie, eksternistycznie. Jako temat pracy wybrałem sobie współczesny stan egzegezy pierwszego rozdziału Księgi Genesis, tego o stworzeniu świata, bo mnie to interesowało. I to był bardzo dobry, ważny dla mnie wybór.

Uznał ksiądz, że biblijna opowieść o powstaniu świata jest niewystarczająca, tak? Że to metafora, szyfr, bajka?

Gdy pisałem pracę magisterską o Genesis, w każdym komentarzu było napisane, że to jest narracja religijna, w dodatku zgodna ze standardami, rodzajami literackimi, jakie panowały na Bliskim Wschodzie trzy tysiące lat temu; że nie można czytać tej księgi jako podręcznika kosmologii, jej przesłanie jest czysto religijne. Wystarczyło sięgnąć – co prawda, w moim przypadku, w angielskim tłumaczeniu – do tekstów zawierających mity babilońskie, żeby zobaczyć podobieństwo Księgi Rodzaju z babilońskim opowiadaniem o stworzeniu świata, które nosi tytuł „Enuma elisz”.

W swoich poszukiwaniach ksiądz nie czuł się skrzepowany, że to jednak Pismo Święte, Słowo Boże, a w każdym razie coś więcej niż starożytna literatura?

Absolutnie nie; ja myślę, że dla każdego teologa to są kwestie otwarte. Zawsze się dziwię, jak to jest możliwe, że podczas studiów seminaryjnych przyszłemu księdzu kładzie się do głowy współczesne zasady egzegezy Pisma Świętego, a potem idzie on na ambonę i głosi kazania zgodnie ze standardami dziełnastowiecznej katechezy.

A kim w ogóle jest ksiądz według księdza Hellera: sługą religii, Kościoła, sługą bożym, przewodnikiem wiernych, dysponentem prawdy, wszystkim po trochu, czymś bardziej? Dla większości świeckich to chyba głównie urzędnik instytucji, korporacji kościelnej, no może, nieco ironicznie, urzędnik Pana Boga czy też, to ładne określenie: naziemny personel Stwórcy? A dla księdza?

Po trosze wszystko, co pan wymienił. Na przykład w kancelarii jest się urzędnikiem, ale chyba na pierwsze miejsce wysuwa się służenie ludziom, nie Panu Bogu, ludziom. Jakbym chciał służyć Panu Bogu, tobym się zamknął w jakimś klasztorze kontemplacyjnym. To jest – tak uczą w seminarium – duszpasterstwo, pasterzowanie ludziom. Pamiętam, jak na ostatnim roku w seminarium tarnowskim, tutaj po drugiej stronie ulicy, nasz ojciec duchowy (jest taka funkcja wśród wychowawców w seminarium) przygotowywał nas do słuchania spowiedzi.

Pamiętam jego słowa: „w konfesjonale będziesz sędził sprawę pomiędzy Bogiem a człowiekiem. Jeśli będzie konflikt, zawsze trzymaj stronę człowieka”. Tak powinno być.

Ale nie mogę nie zapytać jeszcze o księżowską misję w praktyce: czy trudno być księdzem dzisiaj w Polsce? Czy ksiądz ma jakiś dyskomfort z tym? Słyszę od osób mocno związanych z Kościołem, że są głęboko rozczarowane, mają poczucie narastającego dystansu między instytucją a tym, czego by oczekiwali od duszpasterzy.

Myślę, że jeśli się „księżostwo” traktuje głęboko, to jest to trudny zawód. Niewątpliwie dzisiaj jest bardzo ciężko. Te wszystkie zgorszenia, które w tej chwili wychodzą na jaw w Kościele... Myślę, że wielu księży odbiera to osobiście i jest nam po prostu wstyd, najzwyczajniej w świecie – wstyd. Z drugiej strony w historii Kościoła nieomal zawsze był jakiś kryzys. Przypomnijmy sobie np. średniowieczne obrazy Sądu Ostatecznego, gdzie zwykle na dole jest wymalowane piekło. Na żadnym z tych obrazów nie brakuje w piekle papieża i kilku biskupów.

Czy ksiądz znajduje jakieś głębsze przyczyny tego obecnego kryzysu Kościoła? Być może Kościół był permanentnie w kryzysie, ale dziś chyba bardziej: postępuje laicyzacja, kościoły pustoszeją, młodzież wypisuje się z lekcji religii, zwłaszcza ostatnio w niektórych miejscowościach jest to zjawiskiem wręcz masowym. Przybywa apostatów i – nowe określenie – apatytów – obojętnych. Jest nieufność wobec episkopatu, coraz silniejszy antyklerykalizm. Co się dzieje?

Ten kryzys mnie specjalnie nie zaskakuje, co więcej, ja go przewidywałem. Znanym faktem jest, że Jan Paweł II zapraszał kilkunastu uczonych na wakacyjne spotkania, dyskusje. Przed drugą wizytą w Polsce zwrócił się do nas, do kilku osób – był wśród nich późniejszy biskup Życkiński i kilku profesorów, głównie z UJ – z prośbą o analizę sytuacji w Polsce, także Kościoła. Papież chciał się przygotować do tej wizyty. Napisaliśmy papieżowi: stan Kościoła w Polsce jest zły, duchowieństwo jest nieprzygotowane intelektualnie i duszpastersko do zmian, do wolności. To, że Kościół jest prześladowany, chroni go. Kiedy ten czynnik odpadnie, dojdzie do laicyzacji. Część z tych listów została opublikowana niedawno w dostępnym w sieci piśmie Polskiej Akademii Umiejętności, które nosi tytuł „PAUza Akademicka”. Doszliśmy do wniosku, że czas, żeby to upublicznić. Nie wiem, czy Ojciec Święty z tego skorzystał, czy uwierzył naszym analizom, ale tam to wszystko jest napisane: że kleryków w seminarium będzie coraz mniej, że będzie laicyzacja. Ja osobiście myślałem, że po upadku komunizmu ten proces nastąpi szybciej; nastąpił z opóźnieniem, ale może z większą siłą.

Pamiętam, że ksiądz przestrzegał przed tym, co popularnie nazywają się sojuszem ołtarza i tronu. Tu nie chodzi tylko o obecne czasy czy obecną ekipę. Już na początku lat 90. panował triumfalizm, poczucie, że można zaprząć władzę państwową do wspomaganie misji Kościoła. Czy ksiądz nie uważa, że gdzieś tam trzeba szukać jednej z głównych przyczyn kryzysu? Że Kościół za bardzo zbliżył się, utożsamiał, zrósł z władzą świecką?

Niewątpliwie tak. Wystarczy popatrzeć na historię Kościoła: ilekroć następowało zbliżenie tronu z ołtarzem, to cierpiał na tym nie Kościół, tylko religia. Ludzie się odwracali. I tak jest u nas, z tym że to się zaczęło wcześniej, zanim jeszcze pojawiły się radykalne hasła narodowo-religijne, które zrażają dużą część społeczeństwa i do Kościoła, i do patriotyzmu. Po upadku komunizmu Kościół zrobił błąd, że zbyt szybko i zbyt zdecydowanie odzyskiwał utracone dobra. Jemu się one należały, bo były nieprawnie zabrane, ale gdyby to zrobić wolniej albo wcale, to Kościół chyba by uzyskał dużo więcej. Ale chciałbym też wyrazić solidarność z moimi braćmi księżmi. To, że jest dużo więcej, niż się spodziewałem, księży słabych, którzy ►

► ulegają swoim grzechom, to nie znaczy, że ogromna większość to nie są wspaniali ludzie. Dzisiaj rzeczywiście trudno być dobrym księdzem. Za komuny duchowni byli na piedestale, byli bohaterami, teraz są często na marginesie, atakowani, otoczeni nieufnością. To jest bardzo trudne.

Zgoda, ale kryzys Kościoła instytucjonalnego, utrata autorytetu, wiarygodności księży, biskupów, proboszczów prowokują kryzys wiary, a na pewno wzmacniają wątpliwości co do samej religii i jej znaczenia, społecznego sensu.

Więc zapytam: czym dla księdza jest religia? Istnieje parę popularnych definicji, chodzi mi o to, która z nich jest księdzu najbliższa? Mówi się, że to jest rodzaj takiej prymitywnej prenauki, próba wyjaśnienia świata, którego przed setkami lat nie dało się inaczej wyjaśnić. Albo „opium dla ludu”, narzędzie sprawowania władzy, bo przy pomocy religii łatwo jest kontrolować ludzkie zachowanie, narzucać społeczne wzorce. Może też rodzaj psychotechniki, automanipulacji, ucieczki od egzystencjalnych wątpliwości, od osobistej odpowiedzialności, prosty sposób czyszczenia sumienia? Albo narodowy totem. Czy ksiądz się zgadza, że religia albo jakieś jej rozumienie może być społecznie szkodliwe?

Gdy chodzi o religię, najpierw odpowiem podręcznikowo – słowo religia pochodzi od łacińskiego *re-ligo*, czyli wiąże ponownie; to jest związek człowieka z Bogiem. Myślę, że ten źródłosłów dobrze pokazuje istotę religii, jej najważniejszy wymiar. Ale zatrzymam się przy tym końcowym pytaniu: kiedy ona zaczyna spełniać złą funkcję? Sądzę, że wtedy, gdy się fanatyzuje i wtedy, gdy zastępuje myślenie, a to niestety się dość często zdarza. Jedno i drugie zresztą się wiąże. Jeżeli komuś religia zastępuje myślenie, to wtedy jest już tylko krok do tego, żeby to pseudomyślenie narzucać innym. To jest groźne i ma wielkiego sprzymierzeńca w procesach społecznych, bo to, co się dzieje z religią, jest wypadkową warunków społecznych. A tym czynnikiem, który jest dzisiaj ogromnym zagrożeniem dla religii, jest irracjonalność. Szerzy się ona we współczesnym świecie w zaskakującym tempie.

Przepraszam, wydawało mi się, że istotą religii jest właśnie irracjonalność.

Nie, istotą religii jest racjonalność, tylko znająca swoje granice. Na przykład pytanie o sens jest pytaniem racjonalnym, choć wykracza poza granice metody naukowej. Moim zdaniem granice metody naukowej nie pokrywają się z granicami racjonalności. Irracjonalność to jest działanie wbrew rozumowi. Religia, która tak działa, to nie jest w ogóle religia, moim zdaniem.

Ksiądz uparcie próbuje godzić wiarę z rozumem, religię z nauką; wszechświat, ową „księgę przyrody”, z księgą objawienia. Więc teraz zapytam jak fizyka: czy religię da się pogodzić z tym, co już nauka wie o wszechświecie? Ksiądz przez dziesiątki lat studiuje fizykę, kosmologię, matematykę, próbuje zrozumieć mechanikę świata tak, jak ją odczytuje nauka. Czy ksiądz podczas tych dekad studiów dowiedział się czegoś o wszechświecie, co podważyło jego pewność religijną, czy raczej nauka wzmacnia w księdzu przekonania religijne, wzmacnia wiarę?

Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć ani tak, ani nie. Każda skrajna odpowiedź byłaby uproszczeniem. Ja myślę, że ewolucja moich poglądów trochę odzwierciedla ewolucję historyczną ludzkości. Jeśli popatrzymy na rozwój nauki, to od czasów biblijnych, od Księgi Genesis, o której mówiliśmy, wszechświat się zmienia. Kiedyś był malutki, nie sięgał poza Ziemię, potem urósł, bo już coś wiedziano o planetach; potem jeszcze się rozszerzył:

zaczęto badać świat gwiazd; dopiero od niedawna centrum zainteresowania stały się galaktyki. Dzisiaj mówi się o wielu wszechświatach, jest to hipoteza, ale dość modna. Więc wszechświat się rozszerza w sensie poznawczym. Proszę zauważyć, że w miarę rozszerzania się poznawanego wszechświata pojęcie Boga także się rozszerza. Dla pierwszych chrześcijan i Żydów Bóg to był ktoś, kto rozdził ziemię, piorunami, morzem.

I często zabierał głos, komunikował się z ludźmi, prorokami.

Potem Bóg rósł coraz bardziej; u Newtona jest to ktoś, kto zadaje warunki początkowe i kieruje mechaniczną ewolucją wszechświata. Kiedy już mamy królestwo galaktyk, Bóg zaczyna spoglądać na ziemię z perspektywy nie centrum wszechświata, tylko może jednego z wielu. Jakiś teolog powiedział, że jeśli Bóg jest nieskończonością, to go nie interesuje nic mniejszego niż nieskończoność, dlatego światów musiał stworzyć nieskończenie wiele. Widzimy, że pojęcie Boga też ulega ewolucji. Myślę, że podobnie było w moim życiu. W miarę poznawania nie teologii, tylko właśnie wszechświata, Bóg stawał się coraz bardziej abstrakcyjny, ale też coraz bardziej racjonalny. Potem któregoś dnia – trudno powiedzieć, czy to był dzień, czy to był proces – oczarowało mnie zdanie Leibniza, ono odzwierciedliło moje własne przemyślenia: „gdy Bóg liczy, powstają wszechświaty”. To jest piękne zdanie, nie wiem, czy jakiś teolog by się na nie mógł zdobyć, chyba żeby równocześnie studiował kosmologię, fizykę i matematykę.

Więc w jakiego Boga Michał Heller teraz wierzy? Ksiądz podaje różne definicje, niekiedy one są przepiękne – choć dla mnie brzmią heretycko – jak ta, że Bóg jest matematyką, jest Racjonalnością (przez duże R), nieskończonością. Ale jednocześnie mamy Boga biblijnego, Boga ewangelii, Boga Zmartwychwstałego, czy to jest cały czas ta sama istota?

Do tych różnych definicji dodam jeszcze jedną, bardzo tradycyjną, którą podpowiedział św. Tomasz z Akwinu, że Bóg to jest to, co jest. Nie, że Bóg jest, bo to jest stwierdzenie, które orzekamy o wielu rzeczach, lecz Bóg jest tym, co jest. Wszystkie definicje Boga są nieudolnymi próbami uchwycenia czegoś, co się nam wymyka.

Gdzie w tym wszechświecie jest miejsce dla Boga ewangelicznego, Jezusa Chrystusa?

Gdybym nie był chrześcijaninem, nie znał chrześcijaństwa, a wiedział wszystko to, co wiem z nauki i filozofii, to prawdopodobnie wierzyłbym w Boga, w jakiś Absolut, choć nie wiem, jak bym go sobie wyobrażał. Pewnie jako Wielką Racjonalność.

Jako chrześcijanin wierzę, że Bóg to Ktoś, z kim próbuję nawiązać kontakt, do kogo się modłę. Taki Bóg dla mnie jest Bogiem chrześcijańskim, to dokładnie Bóg Jezusa Chrystusa. Tutaj wchodzi moje chrześcijaństwo i to, co nazywamy objawieniem chrześcijańskim. Nie lubię słowa objawienie, ono oczywiście jest bardzo głęboko teologiczne – po łacinie *revelatio* znaczy odsłonięcie i trudno inaczej to nazwać – ale niezbyt lubię to określenie, bo ono jest lekko spospolitowane różnymi objawieniami: takiemu świętemu, innemu świętemu coś się objawiło... A objawienie chrześcijańskie to jest proces historyczny, który angażuje człowieka i stawia pewien wzorzec życia, do którego się dąży, którego się nigdy nie osiągnie. *Rationale* mojego myślenia o Chrystusie jest innego rodzaju, niż gdy myślę o Bogu-Absolucie. Nie uzasadniam go w kategoriach filozoficzno-kosmologicznych, lecz historycznych. Dobrze historycznie umocowany proces oczekiwania przez naród żydowski „tego, który miał przyjść”. I jego urzeczywistnienie w osobie Jezusa Chrystusa. Tu trzeba odwołać się do historii.

Bardzo często przeszkadza samo słowo „Bóg”. Wielu ludzi, także uczonych, odrzuca Boga, bo słowo to kryje dla nich niedobrą treść.



W ostatnich pracach mówi ksiądz profesor, iż nasza wiedza o wszechświecie pozwala zakładać, że na innych planetach też mogą istnieć świadome byty, i tam, być może, również nastąpiło jakieś inne wcielenie Boga. My mamy swoje lokalne wcielenie Jezusa Chrystusa, a na innych planetach Bóg się objawił w jakiś inny sposób.

To jest trochę theology fiction. Ja myślę, że na taką fiction jesteśmy skazani, bo jednak nie wiadomo, czy we wszechświecie są jakieś istoty rozumne, czy nie. Zdania są podzielone. Chyba mniejszość uważa, że jesteśmy wyjątkowi, samotni we wszechświecie, a większość sądzi inaczej, ale tych spraw się nie rozstrzyga głosowaniem. Krótko mówiąc, nie wiadomo, czy jesteśmy sami, czy nie. Istnieje jednak zbyt dużo poszlak, że mogą istnieć inne byty rozumne. Jeżeli istnieją, to trzeba postawić pytanie o ich stosunek do Boga. Jeżeli Bóg jest taki, jak wierzymy w chrześcijaństwie, to na pewno ich nie zostawił swojemu losowi. Teologia powinna postawić to pytanie i zmierzyć się z nim. Nasza obecna teologia jest zbyt geocentryczna.

A czy możliwe jest wyjaśnienie wszechświata, jego natury, praw przyrody, ewolucji kosmosu w ogóle bez Boga? Ksiądz sam referuje teorie o wszechświecie bez początku, skąd fizycy próbują usunąć hipotezę Boga.

Przepraszam, że dopytuję: ksiądz wciąż ma przekonanie, że Bóg istnieje?

Bardzo często przeszkadza samo słowo „Bóg”. Wielu ludzi, także uczonych, odrzuca Boga, bo słowo to kryje dla nich niedobłą treść. Jeżeli zastąpimy słowo Bóg na przykład określeniami: Absolut, Ostateczna Racja, Sens, to okaże się, że wielu ludzi uważających się za ateistów wcale nimi nie jest.

Natura?

Jeśli odpowiednio rozumiana. Natura to jest drugie takie słowo jak Bóg. Może wszystko znaczyć. Ale wyobraźmy sobie, że chcemy wytłumaczyć absolutnie wszystko „w naturze”. W punkcie wyjścia nie możemy założyć nic, a jeśli założymy nic, to nie zrobimy spoza tego nic, ani jednego kroku. Czyli coś musimy założyć w punkcie wyjścia, żeby zapoczątkować proces wyjaśniania. Dlatego teraz, czy za sto lat, jeśli nauka nadal będzie istnieć, to te same pytania podstawowe, dotyczące pierwszych zasad – bo czasem zamiast o Bogu fizycy mówią o pierwszych zasadach – nadal będą niepokoić. Od czasów starogreckich nie posunęliśmy się naprzód w rozwiązaniu tych spraw. Może inaczej tylko problem nazywamy, umieszczamy w szerszym kontekście.

Myśli ksiądz, że nie dogonimy tajemnicy „praw przyrody, fizyki, kosmosu” jako uczeni, jako ludzkość rozwijająca naukę? Nie wygonimy Boga ze wszechświata?

Słowo Bóg może zniknąć, jeżeli świat pójdzie w stronę globalnej laicyzacji, ale problem pozostanie.

Czy ksiądz nie ma poczucia, że kiedy rozmawiamy teraz o Bogu wszechświata, odsłania się potworny dystans między tym Bogiem, którego ksiądz opisuje jako matematykę, racjonalność, nieskończoność, a tym, którego nam się przedstawia w katechizmie, o którym mówi religia, księży? Nie wydaje się księdzu, że ta religia, którą my poznajemy, nie jest uprawomocniona, nie jest umocowana w owym Bogu wszechświata? Powoływanie się, że Bóg tak chce albo tak określił rolę kobiety w życiu, albo że „prawo naturalne” nie pozwala na takie czy inne zachowania, czy to nie jest rodzaj jakiegoś okropnego nadużycia, o które wielu ludzi niereligijnych słusznie ma pretensję do Kościoła? Przemawiają w imieniu kogoś, kto nie dał im prawa głosu, ponieważ nawet jeśli On Jest, to się z nimi nie zadaje.

Istnieje dużo poszlak, że mogą istnieć inne byty rozumne. Jeżeli istnieją, to trzeba postawić pytanie o ich stosunek do Boga.



Trzeba oczywiście odróżnić to, co należy do istoty chrześcijańskiego depozytu, od tego, co narosło w ciągu wieków. To prawda, że jest ogromny dystans pomiędzy Absolutem, o którym rozmawiamy, którego nazywamy Bogiem, a jego odbiorem w społeczeństwie. W porównaniu z rzeczywistością wszystko, o czym mówimy, jest bardzo prymitywne. Wyobraźmy sobie jakiegoś prostego człowieka, który gdzieś przy przyrodznej kaplicy się modli, i bardzo wyrafinowanego teologa, który snuje swoje rozważania na temat relacji osób w Trójcy Świętej. Sądzę, że w stosunku do Nieskończoności, do której obaj kierują swoje myśli, różnica pomiędzy ich poglądami jest zaniedbywalna. Jeden i drugi, w stosunku do Nieskończoności, są tak samo daleko.

Ksiądz, jako kapłan katolicki, chrześcijanin, musi wierzyć w „życie po”, w zmartwychwstanie. Czy ksiądz, będąc tak między religią a fizyką, ma jakieś wyobrażenie, co to jest to „po”? Mamy się czegoś obawiać? Po co my w ogóle jesteśmy potrzebni Panu Bogu?

Nie muszę wierzyć w życie wieczne, ale wierzę. Ta wiara jest odpowiedzią człowieka wolnego, więc nie ma przymusu. Owszem, wyobrażam sobie życie wieczne, aczkolwiek, jak w starym dowcipie, z góry się z tymi wyobrażeniami nie zgadzam. Byłbym niezmiernie zaskoczony, gdyby po śmierci, w wieczności, wszystkie moje intuicje okazały się prawdziwe. Nawet powiedziałbym, że byłbym rozczarowany. Mogę oczekiwać, że będzie jeszcze ciekawiej, niż sądzę. Sam moment śmierci będzie prawdopodobnie trudny, ale po drugiej stronie może być niezmiernie ciekawie. Zastanawia mnie, czemu to ludzi nie ciekawi, lecz się tego boją.

Myśli ksiądz, że po tej drugiej stronie możemy poznać odpowiedzi na wszystkie nasze pytania?

O ile nas będą nadal interesowały.

Będziemy wiedzieli, jak jest?

Wyobrażam sobie, że wtedy wyzwolimy się z więzów czasu. Istnieje teoria, sięgająca jeszcze św. Augustyna, że wieczność nie jest istnieniem w nieskończonym czasie, lecz istnieniem poza czasem. W pewnym sensie fizyka dzisiaj to potwierdza, ponieważ mówi, że czas prawdopodobnie powstał razem ze wszechświatem. Można sobie wyobrażać, nawet są po temu pewne racje, że pierwsze momenty istnienia świata były aczasowe. Tu nasz język doznaje drgawek, bo jest cały uczasowiony: czy w ogóle można mówić o pierwszych momentach, gdy nie ma czasu? Ale wyobraźmy sobie, że istniejemy poza czasem, że możemy spojrzeć na swoje życie od początku do końca z jakiejś innej perspektywy, jak to będzie? To naprawdę jest bardzo ciekawe.

Bo jako ludzie nie przebijemy zasłony tajemnicy? Nie zrozumiemy, nie znajdziemy języka opisu naszego świata.

Ten nasz język, nasz system pojęć, załamuje się przecież już w fizyce kwantowej.

Zatem zostają tylko próby. Widzę, czytam, jak w nauce prof. Heller próbuje uchwycić św. Graala fizyki, czyli połączyć makrokosmos, grawitację z mikrokosmosem – mechaniką kwantową. To samo próbuje ks. Heller robić na obszarze religijnym: łączyć Boga wszechświata, Boga fizyków, z Bogiem wcielonym, tym mikro-, geocentrycznym bogiem, jak sobie ludzie go wyobrażają, potrzebują. To jest niesłychanie rzadkie dzisiaj w Polsce, że mamy do czynienia z człowiekiem, który odważa się być pomostem, łącznikiem między świętym i świeckim.

Nie czuję się pomostem. Najwyżej trochę jak kładka, i to taka, która chwieje się, gdy ktoś po niej przejdzie. Właśnie pan redaktor się po niej przeszedł, jeszcze czuję, jak się ugina i chwieje.

ROZMAWIAŁ JERZY BACZYŃSKI

MARIUSZ JANICKI

Trzy Polski

P

rzebijają się dzisiaj dwie opowieści. Pierwsza głosi, że obóz władzy PiS znalazł się już na równi pochyłej, rozpoczął nieuchronny zjazd w dół. Opozycja złapała wiatr w żagle i już nie odpuszcza. Kolejne afery, nepotyzm, zawłaszczanie państwa i uwłaszczanie się na nim przez nową, pazerną nomenklaturę oraz pandemia muszą spowodować nieuchronny upadek rządzącej formacji.

Jest i druga narracja. PiS ma kłopoty, jednak jednocześnie ma bazę społeczną, dzięki której znowu, jak zawsze, się wywinie. Jest źle, ale będzie lepiej: pandemia osłabnie, ludzi się wyszczepi, głośnie dzisiaj afery przyschną, rząd podatkowo ulży uboższemu, a zabierze bogatszym, dołoży kolejną emeryturę, podniesie 500 plus na 600 plus, przedstawi Nowy Ład i wszystko wróci do „normy”, czyli ponad 40 proc. poparcia.

Gdzie jest prawda? POLITYKA zleciła badanie pracowni Kantar po to, aby rozjaśnić sytuację, pokazać w szczegółach, jak rozłożone są polityczne i ideowe sympatie Polaków, ich poglądy, opinie, emocje; w jakim miejscu jest władza, a gdzie opozycja. Z sondażu wyłania się bardzo interesujący obraz dzisiejszej rzeczywistości, który poniżej prezentujemy.

Polska polityka buzuje. Widać transfery, podskórne ruchy i prądy, słychać przepływy elektoratów. Coś się zmienia. Pytanie: co, czy naprawdę i na ile trwale? Kto idzie w górę, kto traci? Postanowiliśmy sprawdzić w specjalnym sondażu, jak wygląda polityczna Wiosna '21.

Wielka mijanka na opozycji?

Sondaż partyjny wykonany do POLITYKI pokazuje słabnącą pozycję PiS (Zjednoczonej Prawicy). Po zeszłorocznym załamaniu notowań, spowodowanym wyrokiem tzw. Trybunału Konstytucyjnego na temat aborcji, formacja Kaczyńskiego powoli się podnosiła, ponownie zbliżała się do poziomu 40 proc. Jednak ten trend wyhamował z powodu trzeciej fali pandemii i nowych afer, zwłaszcza sprawy Daniela Obajtki.

PiS dość trwale ułokował się średnio na poziomie 30–32 proc. (w naszym sondażu – nawet 28 proc.). Oczywiście może się znowu odbić, ale powrót do wyników 45–47 proc., jakie miał PiS jeszcze w 2019 r., wydaje się mało prawdopodobny. Choć warto pamiętać, że 30 proc. poparcia PiS miał już w 2016 i 2017 r., a potem poszybował w górę, jednak wtedy był dopalacz rozpędzającego się programu 500 plus, potem dodatkowe emerytury, wyprawki itd. Ten arsenał się mocno wyczerpał, ale może być, choćby wielkim budżetowym kosztem, reanimowany. Dla PiS utrzymanie rządów jest warte każdej ceny zapłaconej z publicznych pieniędzy. Wielu przedstawicieli dzisiejszej władzy na różnych szczeblach musi mieć świadomość, że ich kariery i osobiste losy nie przetrwają politycznej zmiany.

